



665

Muzyka

Semiramida w Poznaniu wydarzeniem sezonu operowego

Brylant w oprawie



Ewa Podleś, *Semiramida*, Teatr Wielki w Poznaniu. Premiera 28 V 1994

Janusz Łętowski

Niektórzy twierdzą, że krytyk,

dam operowej sceny: australijskiego sopranu Joan Sutherland i amerykańskiego altu Marilyn Horne. Obie właściwie zakończyły (lub są bliskie końca) aktywną operową karierę. Pora zatem, by znalazły się następczynie. I właśnie w Polsce mamy wspaniałą śpiewaczkę, Ewę Podleś, o której zagraniczni krytycy potrafią pisać tak: *Potężny, bogaty i pewny w górze głos o przepięknej barwie! Cóż za skala, coś za suwerenność, a równocześnie wspaniała delikatność!* (berliński *Orpheus*). Było więc oczywiste, że prędzej czy później ktoś podejmie się przygotowania *Semiramidy* właśnie dla niej.

Mimo że gwiazdą tej opery jest alt, to przecież maestro Rossini i dla innych głosów napisał niewiarygodnie trudne role: sopran, tenor, dwa basy muszą zademonstrować odwagę, siłę i nie byle jakie umiejętności. A przecież – uczciwie mówiąc – tradycje wykonawcze tego rodzaju muzyki nie są u nas znaczne: znaleźć basę, który może śpiewać i koloratury?! Okazało się jednak, że Polak, jeśli się mocno postara, potrafi.

Oczywiście, podstawową atrakcją przedstawienia był udział Ewy Podleś: oklaski na wejście, huragany braw po kolejnych cavatinach, cabalettach i zespołach. Wspaniały głos, absolutnie suwerenna technika (a coś to za piekielną rolę, ten Arsace, wiedzą dobrze ci, co znają tę operę), pewny oddech, swobodna muzykalność. Nie wiem, czy znajdzie się dziś na świecie śpiewaczka mogąca równie znakomicie zaśpiewać tę rolę. Ale muszę dodać jeszcze jedno: Podleś nie jest zmanierowaną primadonną, domagającą się dla siebie nieustannie wyjątkowego statusu na

W dużej też mierze właśnie jego zasługą była świetnie naelektryzowana atmosfera całego przedstawienia: publiczność wiedziała, że ogląda prawdziwy operowy spektakl, i to się czuło na

Jest oczywiste,
że prędzej czy później
ktoś musiał zdecydować się
na wystawienie
Semiramidy właśnie
dla Ewy Podleś.

sali, artyści wiedzieli również, że słuchacze są podekscytowani i spięci – to się z kolei i im udzielało.

Byłbym oczywiście niesprawiedliwy, gdybym pominął doprawdy godną podziwu pracę reżysera Giovanniego Pampiglione oraz scenografa Santiago Migneco. Pierwszy znakomicie prze-

myślał sytuację i zaplanował ruch sceniczny w sposób wręcz idealny (opera, szczególnie włoska, rządzi się w tym zakresie bardzo specjalnymi prawami). Drugi – zaprojektował piękne dekoracje i wręcz fantastyczne kostiumy, cieszące oczy widzów (no, owe zielone trykoty tancerek były jednak dosyć paskudne). Słowem, pod wszystkimi względami było to wyjątkowe przedstawienie. Trwało też niezmiernie długo, prawie cztery godziny (a i tak dokonano poważnych skrótów). Jest to zatem spektakl dla prawdziwych miłośników opery. Ale mamy ich dosyć w Polsce i niewątpliwie chętnie przyjadą do Poznania.

Gioacchino Rossini *Semiramida*, inscenizacja i reżyseria Giovanni Pampiglione, scenografia i kostiumy Santi Migneco, kierownictwo muzyczne Andrzej Borejko, Teatr Wielki w Poznaniu, premiera 28 V 1994

Wywiad z Ewą Podleś na str. 23

Janusz Łętowski

Niektórzy twierdzą, że krytyk, niczym myśliwy, żyje z cudzego nieszczęścia i dlatego po śmierci nigdy nie trafia do nieba. Inni uważają, że recenzje pisują zwykle ludzie, którym się w sztuce nie powiodło, i dlatego chętnie prześladują innych. Czy ja wiem? Znam wiele osób piszących recenzje (ktoś w końcu musi) i zawsze widzę, że cieszą się niczym małe dzieci, gdy tylko mogą szczerze coś pochwalić. Słuchają więcej niż inni, muszą zatem z obowiązku bywać także na marnych koncertach i przedstawieniach. Brzydzą ich one tak samo jak wszystkich innych, a może nawet znacznie bardziej. Jeśli napiszą jednak coś krytycznego, obraża się na nich skrytykowany; jeśli nie skrytykują, wszyscy wietrzą układy i spiski. Słowem, najmilej jest krytykowi, gdy ma uczciwie prawo do pochwalnej recenzji.

Kołało mi to po głowie, gdy wracałem z Poznania, z premiery *Semiramidy* Rossiniego. Bowiem – by rzecz prawdę – była to wielka przyjemność: premiera udała się nad podziw! A zważywszy ogólnie kłopotliwą sytuację na operowym rynku, była to radość nieco nieoczekiwana, lecz właśnie dlatego pełniejsza i satysfakcjonująca. Mogę więc z absolutnie czystym sumieniem umoczyć pióro w miodzie. Zgryźliwcy zaś niech lepiej od razu zaniechają lektury.

Wybór *Semiramidy* był oczywiście nieco zaskakujący, ale z pewnych względów uzasadniony. Jest to w końcu jedna z czołowych oper włoskiego pre-belcanta (bo prawdziwe belcanto to już nieco późniejszy Bellini). Bardziej dociekliwym czytelnikom wspomnijmy, iż okoliczności powstania *Semiramidy* nie były wcale wolne od konfliktów, jeśli można użyć tak łagodnego sformułowania.

Rossini otrzymał latem 1822 roku zamówienie na dwie opery dla wene-

kiego teatru La Fenice. Pierwsza to miała być przeróbka *Mahometa II*, który już wcześniej poniósł efektowną klęskę w Neapolu. Rossini – zajęty różnymi sprawami zawodowymi i towarzyskimi – niczego tak naprawdę w *Mahomecie* nie zmienił. Dowiedziała się o tym wenecka publiczność, a skandal, który w rezultacie wybuchł na przedstawieniu, był wręcz niewiarygodny! Uwertura, a potem wszyscy śpiewacy zostali kolejno wygwizdani, awantury przeniosły się na ulicę i trwały aż do rana. Słowem, trudno było przypuszczać, że to najlepszy moment do wystawienia jeszcze jednej opery Rossiniego.

Ale on sam był dobrej myśli: miał dosyć czasu, by przyłożyć się porządnie i napisać coś całkiem nowego, oryginalnego i atrakcyjnego, czyli właśnie *Semiramidę*. I tu wyjaśnijmy: w owych czasach dosyć oznaczało miesiąc! Ros-

Powstanie tej opery poprzedził ogromny skandal i awantury trwające na ulicach Wenecji do białego rana.

sini napisał operę w 33 dni! Premiera, 2 lutego 1823 r., była sukcesem: do końca sezonu operę powtórzono 28 razy, a wykonawcy (Isabella Colbran, Teresa Mariani, Filippo Galli) otrzymali dobre recenzje. Niektórzy zresztą uważali, że opera jest zbyt *niemiecka*, co oznaczało, że zbyt wiele uwagi kompozytor poświęcił orkiestrze. Ale z kolei to m.in. zyskało uznanie Ryszarda Wagnera.

Wszystkie największe wokalne gwiazdy chętnie występowały w *Semiramidzie*. W naszych czasach opera ta stała się na lat blisko dwadzieścia *prywatną własnością* dwóch wspaniałych

na rola, ten Arsace, wiedzą dobrze ci, co znają tę operę), pewny oddech, swobodna muzykalność. Nie wiem, czy znajdzie się dziś na świecie śpiewaczka mogąca równie znakomicie zaśpiewać tę rolę. Ale muszę dodać jeszcze jedno: Podleś nie jest zmanierowaną primadonną, domagającą się dla siebie nieustannie wyjątkowego statusu na scenie. Jak mało która polska śpiewaczka, chce i umie pięknie śpiewać w zespołach: duety z basem czy z sopranem (wspaniały!) to były doprawdy wzory śpiewania, którego muzyczny sens polega na tym, że się nie tylko śpiewa, ale myśli czy nawet wręcz oddycha razem.

Agnieszka Kurowska, czołowy sopran Warszawskiej Opery Kameralnej, z pełnym oddaniem zaśpiewała wszystkie próby i wystąpiła na premierze. To również wyjątkowo piękny głos i już dziś (mimo młodego przecież wieku) dojrzała i świadoma artystka. Moim zdaniem, wykonała tytułową rolę w sposób znakomity i godzien wielkich pochwał (piękne koloratury), acz chwilami słyszało się zarówno napięcie, jak i pewne zmęczenie, czemu się w końcu dziwić nie należy. Myślę, że sama wie najlepiej, na co sobie może pozwolić. Podjęła trudne wyzwanie i wygrała, ale niechże to nie stanie się zwyczajem – szkoda by było!

Janusz Borowicz, bas z Krakowa, wystąpił w partii Assura. Jego głos to potężny, ciemny bas, świetnie brzmiący w operach np. Verdiego. Tym razem podjął się wykonania partii, którą można by przyrównać do morskiego slalomu, tyle że slalomistą ma być wielki żaglowiec. Moim zdaniem, osiągnął piękny sukces i może być z siebie zadowolony. Równie miłe słowa należy skierować pod adresem drugiego basa, Andrzeja Ogórkiewicza, będącego też podporą licznych scen zespołowych. Z przyjemnością słuchało się również pięknego tenorowego głosu Błażeja Greka; myślę, że wiele jeszcze o nim usłyszymy.

Co do orkiestry: uwertura zabrzmiała może niezbyt przekonująco, zdarzały się tu i tam sypki, ale dalej już wszystko szło w miarę sprawnie i energicznie. Kapelmistrz, Andrzej Borejko, wyrównywał pewną ręką niewielkie konflikty i dbał o równowagę całości.